

Dwa udane przedstawienia w teatrach miejskich

Zacznijmy od "Swierszcza za kominem"!

John Galsworthy, autor znanej, wielotomowej "Sggi rodu Forsytów", serdeczny przyjaciel Józefa Conrada Korzeniowskiego, napisał również kilka wybornych szkiców krytycznych, biorąc za temat współczesnych sobie lub niedawno zmarłych pisarzy europejskich. Wśród tych niezwykłych prac esseistycznych odznaczających się nie tylko "profesorską" trafnością ujęcia ale i ostrością sądu bardzo ciekawe jest studium pt. "6-ciu pisarzy z profilu". Pisarzami zaś tymi są: Dickens, Turgeniew, Tołstoj, Conrad, France, Maupassant. Czasem-przyznacie-zestawienie mówi więcej niż treść! Brak tylko-wyraźny brak Balzaca i Flauberta no i kogoś z zapoznanych naszych... a mielibyśmy zamknięty krąg nowoczesnych form powieściowych.

Spójrzmy na profil Dickensa.

~~Wskaz~~

Wedle Galsworthyego-autor "Swierszcza za kominem" jest nieodrodnym synem swej epoki, epoki wiktoriańskiej, w której pisarze angielscy-mimo wielu odruchów protestu przeciw jaskrawym objawom krzywdy i niesprawiedliwości społecznej -w rzeczywistości-uroczyście akceptowali umowy, moralność, obyczaje i ideały swojego okresu. Pomimo tak ostrego sądu, dostrzega jednak Galsworthy w Dickensie poważne akcenty niezadowolenia, akcenty będące czymś więcej niż formą: "Dickens jako pisarz-mówi autor-był uosebieniem prostoty i bezpośredniości. Duch jego wędrował własnymi drogami, wyżywając się w mistrzowskiej, doskonałej rozrzutności artystycznej. Znakomity stylistą o nadzwyczajnej sile wyrazu, a zarazem wcielony, z powołania gawędziarz i narrator, obdarzony zdumiewającą znajomością natury ludzkiej i typów, łączył w sobie wspaniałą twórczą wyobraźnię z ustawicznym entuzjazmem sztubaka zwolnionego na ferie Bożego Narodzenia." A dalej-"Dickens smagał biczem satyry biurokrację, obłudę, nadużywanie władzy. Mimo jednak wrodzonych satyrycznych dyspozycji Dickens przede wszystkim zaciekawia czytelnika fabułą opowieści oraz typami, jakie daje w swych bohaterach." Odmawia jednak autor eseju twórcy "Dawida Copperfielda" wyższego wyrafinowanego "rozumienia sztuki": Malowane przez Dickensa, naiwne w swej zu-

chwałości obraży dsiadałyby na nas jak czerwona płachta na byka, gdyby autor rościł sobie pretensje, że to jest wielka sztuka. Dickens był okazem krzepkiego prostactwa, będąc zarazem największym pisarzem angielskim i zarazem największym przykładem triumfu prawdziwego geniuszu - dzięki wrodzonej wyobraźni i nieznannej sile wyrazu. "Zresztą - konkluduje Galsworthy - jedynym nierazkącym zastąpionym nauczycielem i mistrzem pisarza tego jest - nie teoria i kultura - ale samo życie".

Prawdziwa, głęboka, niepospolicie inteligentna charakterystyka, charakterystyka zupełnie niemal u nas nieznaną niech nam starczy za sakramentalną analizę chwytającego za serce, prześlicznego "Swierszcza za kominem". Niech tam będzie i prawda, że sprawa Johna i jego Kropeczki i franciszkańskiego Kaleba i jego niewidomej córki i naiwnego Nieznajomego i kostycznego potworka Tackeltona - że to wszystko jest i gawędziarskie i "naiwne w swej zuchwałości". Wystarczy, że jest po stokroć urzekające..

Na scenie na początku nie było najlepiej. Biada temu, kto musiał zaryć z bliska w twarz takiemu Tackeltonowi czy ~~Kalebowi~~ Kalebowi! Jasełkowe "szatany" nie są ~~żadki~~ gorzej umorusane! Potem przyzwyczajaliśmy się do tego, ~~nie~~ z mankamentów wizualnych uderzyć widzów musiał jeszcze tylko pomysł "personifikacji" Swierszcza, który jako urocza zresztą panienka, przybrana w srebrne rogi /! / ujawniła się w kominie!! Był to graźniący odskok od spokojnej koncepcji reżyserskiej i biada temu, kto był autorem tej "inscenizacji".

Natomiast aktorsko "Swierszcz" jest jednym z najlepszych przedstawień miejskich teatrów. Po pierwsze Edmund Fidler jako Kaleb. Ani jednego zamania, ani jednej niekonsekwencji, ani jednego błysku niezdecydowania w oczach. Scena zaś wyznania i spowiedzi przed córką była zrobiona po mistrzowsku. Zresztą rzadko występująca Halina Jasnorzewska była również doskonała. Ręce jej zaś doprawdy niezwykle, ręce niewidomej Berty.. Utalentowana aktorka Stępniońska czeka jeszcze na swoją wielką rolę. Jej Kropeczka była dobra w rytmie, ciepła w głosie, dobra aparycyjnie - ale miała "wewnętrzny dystans". Obok zupełnie poprawnej Tilly Justyny Czartorzyskiej wymienić należy jeszcze Tackeltona ~~ka~~ w interpretacji Konrada Morawskiego. Chociaż więcej od niego wymagać należy. Morawski pokazał już w "Dwu przyjaciółkach" że jest nieprzeciętnym aktorem. Tu - dobry głosowo - z zupełnie niezrozumiałych powodów przybrał figurę

3
quasimoda. Byłoby to jeszcze do zniesienia przy jakiejś ogólnej stylizacji, ale taki jednostkowy odskok! nie jest usprawiedliwiony niczym. Na samym końcu niestety muszę wymienić Johna. W scenach z tempem-doskonały, w scenach lirycznych rozpływał się lub zastygał. Ogólnie jednak tak John jak i pani Fielding spełnili swoje zadania poprawnie. Widz wychodzi z tego przedstawienia z takim uczuciem jak po przeczytaniu książki Dickensa: wszyscy ludzie nawet Tackeltony, pomimo ich "czarny charakter" nadają się do przyjaznego uśmiechu...

I to samo uczucie, a może jeszcze gorsze o wiele ogarnęło mnie po wyjściu z "Zabusi" i pomyślałem sobie, że miejskie teatry dramatyczne pracują obecnie usilnie nad "zachwianiem naszej równowagi moralnej". I to głównie przez tę "Zabusię". Mój najbliższy przyjaciel ma z powodu tej sztuki grubsze zamieszki w pożyciu domowym: po prostu żona zapytała go w teatrze pomiędzy drugim a trzecim aktem, kogo woli - czy Zabusię czy Marię, a mój przyjaciel był nierozsądny i powiedział prawdę, że woli... Zabusię. I stąd nieprzyjemności... Po prostu jakaś nowa "teoria względności", bo niby powinniśmy "oficjalnie" potępić tę niewierną małżonkę ale jakoś to nie wychodzi.. Przecież ta kobieta jest dla wszystkich ideałem, wszystkich kocha a najmniej zapewne swego ... przyjaciela.

Takie to bezecne myśli nachodzą człowieka na tej świetnej i kapitalnie granej sztuce. Nachodzą i każą zastanowić się nad tym "zjawiskiem filozoficznym".

Nieznanego mi nazwiska ~~krytyk~~ amerykański krytyk teatralny/ nie wiem czy to jego oryginalna myśl/ napisał w swym studium ~~krytyki~~ o teatrze, że historia teatru jest historią światła, że inaczej grano, w zależności od źródła i siły światła, a oświetlenie na scenie wywarło potężny wpływ na teksty dramatyczne, które musiały się z warunkami światła liczyć.

Sprawa warta jest osobnego studium - na pewno i może krytyka teatralna przy ocenie nowych inscenizacji starych sztuk weźmie to pod uwagę. My zaś ^{tej chwili} spojrzmy tylko na teatr Zapolskiej szukając na jej scenie źródła światła i ewentualnego wpływu tego światła na rozgrywającą się akcję.

Tymczasem radowały się nasze oczy i uszy umiarem i taktem. W dobrych, historycznych dekoracjach widzieliśmy świetnego Bortnickiego w interpretacji Kochanowicza. Nie odbijała od niego zbyt bardzo zdolna Załuska Bielskiej, która zbyt niesmiało, zbyt dyskretnie weszła do roli/Zapolska ten moment specjalnie przygotowuje/ale potem rozegrała się doskonale. Pomegła zresztą doskonała aparycja. Spokojna, "północna" Maria w interpretacji Teofili Koronkiewicz zasługuje na najwyższe uznanie. Oto żywy przykład jak wymowne jest na scenie skupienie i milczenie. Może jakieś tam gramy smutku w pierwszym akcie możnaby odjąć tej dramatycznej postaci. Maniewiczowa-sąsiadka, cudo przewijające się triumfalnie przez wszystkie dramaty Zapolskiej, dobrze leżała w rękach pani Porajskiej. Dziadzio Milewski dostojnego jubilate Pawła Owerły budził poważne podejrzenia, że metryka doskonałego aktora została sfałszowana. Zbyt wielki procent kobiet pod urokiem "dziadzia" pozostało po przedstawieniu. Nawet w autobusie kiedyśmy razem wracali!

Reszta, niewymieniona, godna jest dołączenia do dobranego zespołu, który w całości dowiódł, że miejskie teatry dramatyczne zeszły z gości ^{definitywnie} ca prowadzącego do tanich i nieprzygotowanych widowisk.